ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Marca 1893. **Nr. 5.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

CYGANKA.

W młodości mej, raz w cudny maj,
Pomnę, jednego ranka,
Wołając wciąż: — rękę mi daj!
Kłaniała się cyganka.

— Dajże mi dłoń chłopczyku, hej!
Powróżę ci, coś powiem:
A Bóg że cię w swej łasce miej,
A darz cię Boże zdrowiem. —

Z zczerniałych bark opadał szmat,
Ręce się trzęsły starej;
Spojrzałem nań, posłuchać rad,
Choćby i nie dać wiary.

Wśród gaju drzew, cyganów lik,
Po drodze mknął z pośpiechem;
I w cieniach drzew powoli nikł,
A gaj rozbrzmiewał echem.

Otwarłem dłoń: — Ha, patrz, gdy chcesz!
— Ah! złoto, srebro moje:
Szczęśliwyś ty — oj wierz mi, wierz,
Szczęśliwe życie twoje.

Jak dąbek zdrów przeżyjesz wiek,
Nieznając co choroby,
Przez żywot twój ni żadnych lek,
Ni żadnej ciężkiej próby.

Dla ciebie kraj, dla ciebie świat,
W szczęśliwej wiosce błogo;
Każdy ci druh, każdy ci brat,
A z wrogów — ach! nikogo!

— I nigdyż ztąd od gajów, wód,
Nicże mnie nie odgoni? —
Toż stara wnet, bystro jak wprzód,
Spojrzała po mej dłoni.

Patrzała wciąż, myślała wciąż,
Na czoło palec kładła:
— Przygotuj kij... a torbę związ!...
To jedno stara zgadła.

Teofil Lenartowicz.*)

*) Teofil Lenartowicz, zmarły 4 Lutego b. r. we Florencyi poeta polski, musiał opuścić ojczyznę uchodząc przed Moskalami i tułać się po świecie, aż wreszcie osiadł we Włoszech i tam ostatnie lata przeżył. Piękny wiersz powyższy mówi właśnie o tułaczym losie poety. Później podamy w »Świetle« więcej wiadomości o tym poecie.

Herb rodziny Peccich.

(Ciąg dalszy.)

Jaco podniósł rękę, jak gdyby chciał mu dzieło swoje odebrać; jednakże w głosie i w tonie mowy młodzieńca było coś rozkazującego; coś, co wszelki opór daremnym by czyniło.

Jaco westchnąwszy, opuścił więc rękę i z słodkawo gorzkim wyrazem twarzy przyjął podziękowanie Antonia. Wyrażone ono było w słowach tak uprzejmych, że rychło pierzchły chmury z czoła przyszłego mistrza.

Wreszcie rzekł Antonio: — Chodźmy Lilio, rodzice czekają na nas!

Jaco pozostał na miejscu. Gdy dziewczę wstało, wówczas każdemu musiałoby przyjść na myśl, że stósowne dano jej imię. Smukła i piękna w białej sukiennce, o bladej niewinnej twarzyczce, złotawemi otoczonej włosami, podobną była rzeczywiście do kwiatu białej lilii, tego symbolu młodzieńczej nieskalanej czystości duszy.

Lilia z wdziękiem rękę towarzyszowi podawszy, poszła obok niego, doliną ku Alagnie.

Trudnoby było o lepiej dobraną parę, niż tych dwoje dzieci w pierwszej wiośnie życia, podobnych postacią i urodą, a godnych siebie nawzajem, przymiotami serca i ducha.

Co im przyszłość przyniesie? Czy o tem zamyślił się Jaco? Czy może czuł się dotkniętym, że przyjaciółka jego, którą umiłował już sercem całem, poszła tak chętnie i bez przymusu z innym, jego samego zostawiwszy? Boleśnie zadumany, patrzył za nimi, póki mu nie zginęli z oczu w szarym zmierzchu wieczora.

II.

Od owego wieczora znów szereg dni upłynął; Lilia i Jaco, zwykli byli pierwej, wolne chwile spędzać razem, na rozmowie, zabawie lub budowaniu planów na przyszłość. Teraz nastąpiła ta zmiana, że przyłączył się do nich Antonio, więc, czy to jego obecność, czy też przyczyna, że we Włoszech prędzej młodzież i fizycznie i duchowo dojrzewa, dość, że w teraźniejszych wspólnych ich pogawędkach nie było już tej dziecięcej, co wprzódy, swobody i szczerości. Nieraz między chłopcami wybuchała sprzeczka, w której Jaco zwykle unosił się pierwszy i w gniewie ostre jakieś rzucał słowo; wówczas Lilia umiała zawsze stanąć między zwaśnionymi i rychło wszystko załagodzić. Zresztą, trudnoby było w istocie gniewać się na Antonia, który zawsze w końcu Jaca rozbroił swem łagodnem i uprzejmem obejściem, tak jak niegdyś swą pięknością owego pierwszego wieczora.

Na te częste schadzki chętnie patrzyli rodzice Antonia i Lilii. (Jaco był sierotą oddanym pod opiekę stryja dziwaka, który tyle tylko nim się zajmował, że go żywił i odziewał).

Najmilszą dla nich była rozmowa naukowa kształcąca zdolności, któremi ich Stwórca hojnie uposażył.

Antonio był biegłym w wielu umiejętnościach, a prócz tego, miał szczególny dar do muzyki. Towarzysząc ojcu w dalekich podróżach, poznawał sławnych na tem polu mistrzów. Był także obecnym w Rzymie przy uroczystości, na której Papież Grzegórz XIII ozdobił orderem Złotej Ostrogi znakomitego twórcę hymnu Magnificat, nazwiskiem Orlanda Lasso, a straż przyboczna Ojca świętego w papiezkiej kaplicy ten dar mu wraz z mieczem przypięła.

Antonio śpiewał nieraz z tej sławnej pieśni wyjątki, których Lilia z rozrzewnieniem słuchała.

Jaco znów najchętniej słuchał opowiadania o Realu, najzdolniejszym uczniu sławnego rzeźbiarza Sansovino. Marzył z utęsknieniem o chwili, kiedy będzie mógł wstąpić również jako uczeń do szkoły tego mistrza. Każdy, kto widział

te pełne życia i piękne jego figurki, przyznać musiał, że młodzieniec ten kształcąc się, dojść może do doskonałości.

Co do Lilii, ta pod względem duchowym uboższą od swych przyjaciół nie była.

Posiadała bowiem już w dwunastym roku życia cudowny dar improwizowania i myśli swe w piękne i dźwięczne składała rymy.

. . . .

Tymczasem nadeszła jesień i młodzi towarzysze po raz ostatni zeszli się przed rozstaniem; nazajutrz bowiem Antonio i Jaco rozjechać się mieli; pierwszy powracał do Sienny dla dokończenia nauk, drugi udawał się do Rzymu, by pod kierunkiem Reala zostać rzeźbiarzem. Przeczucie tego przymusowego rozstania zaciężyło im bardzo w sercach, jednak o ile różne były ich usposobienia, o tyle też odmnienne były ich objawy. Lilii twarzyczka wyrażała smutek najgłębszy; napróżno walczyła ze łzami, które nieposłuszne, wciąż jej do ocząt napływały. Jaco, ściągnąwszy ciemne brwi, za każdem spojrzeniem na Lilię i Antonia, gniewnie pięści zaciskał; zdawał się zupełnie zapominać, że wyjazd do Rzymu był wpierw jego najgorętszem życzeniem. Sposępniał jeszcze bardziej, gdy Antonio, ze zwykłą sobie swobodą, wesoło opowiadał, że z wiosną powróci. Z wiosną to znaczy — za parę miesięcy; podczas gdy on, Jaco, przez trzy długie lata, będzie musiał pozostawać między obcymi, a przez cały przeciąg tego czasu, według niezłomnej woli stryja, nie wolno mu nawet będzie ani razu odwiedzić tych stron, ani osób ukochanych.

Antonio odgadł, co się działo w duszy chłopca i począł szukać sposobu, aby go rozerwać. Siedzieli oni na ławeczce przed dworkiem Peccich w Carpinetto; woda w pobliskiej studni cicho szemrała, spływając w kamienny zbiornik; — naprzeciwko na skalistym pagórku rósł piękny, wyniosły cyprys, który w tej chwili, równie jak cały krajobraz, księżyc srebrzystym swym blaskiem oblewał.

Antonio pierwszy, prośbą przerwał długie milczenie:

— Lilio, powiedz nam na pożegnanie jeden z twoich utworów poetycznych.

Lilia bez namysłu życzenie to spełniła. Wstała i wsparłszy się o drzewo, przy blasku księżycowym, wyglądała jakby jakieś świetlane, nadziemskie zjawisko, słowa jej mile i dźwięcznie płynęły, gdy wygłaszała zaimprowizowany wierszyk o cyprysie i lilii. Młodzieńcy wpatrywali się w nią z zachwytem, a Jaco obraz jej na samem dnie serca zachował sobie na wieki; a gdy później nacierały nań zwykłe w młodzieńczym wieku pokusy i wabiły go swą ponętą, bronił się przed niemi, powtarzając w myśli końcową zwrotkę wierszyka Lilii, wypowiedzianego w dniu owym:

»Ty lilio śnieżna, wspaniała
Obym imię twe nosząc, była ci podobna.
Jak ty, zawsze czysta, biała,
W nieskalaną niewinność i świeżość ozdobna.«

III.

W wigilią św. Jana, pod murami Rzymu, wesoła odbywała się uroczystość. Pod namiotami powabnie przystrojonymi dzikiem winem i wieńcami z róż, licznie się zgromadzili artyści, a brzęk kielichów, głośne śmiechy, wesołe okrzyki i toasty, daleko się rozlegały. Grono nadobnych niewiast i dziewic również brało udział w tej zabawie. Ale bohaterem onego wieczora był przedewszystkiem Jaco Deli. Dla lepszego zrozumienia rzeczy cofnijmy się trochę wstecz.

Jaco, pomimo gorącej tęsknoty za ojczystemi górami, a szczególniej za drogą sercu istotą, którą tam pozostawił, przywykł prędko do nowego miejsca swego pobytu. Jedyne jego pragnienie spełniło się, gdyż wkrótce został uczniem Reala, który poznawszy w nim niezwykły talent, wyróżniał go widocznie od innych, a nawet otworzył przed nim gościnne drzwi swego domu, który też stał mu się wkrótce milszym od stryjowskiego; będąc przytem nadzwyczaj pilnym, czynił tak olbrzymie postępy, że nawet swego mistrza wprawiał nimi w zdumienie.

I tak minęły szybko dwa lata jego nauki.

Właśnie w tym czasie, pewien znakomity Rzymianin, miłośnik sztuki, obiecał znaczną nagrodę temu z rzeźbiarzy, któremu by się udało wyrzeźbić najpiękniejszą postać św. Agnieszki do ołtarza jego domowej kaplicy.

Termin ukończenia był naznaczony na pół roku, a wilia św. Jana, była właśnie dniem udzielania nagrody. Jaco Deli do najpilniejszych należał; jemu tak łatwo było odtworzyć tę postać w istocie słusznem było, aby jako doświadczony dawał jeszcże uczniowi ostateczne wskazówki. Ale była i druga para oczu bystro i śmiało w świat patrzących; te należały do Heleny, właścicielki pięknego rzymskiego noska i zalotnej twarzyczki.

Helena była jedyną córką mistrza Reala, źrenicą jego oka, wychwalaną pieszczotką, której tym nadmiarem miłości, chciał on zastąpić przedwcześnie utra-



Niewidome przy pracy. (Obacz obj. rycin na str. 80.)

wdzięczną a czystą zarazem, — wszak przed oczyma duszy miał ją ciągle, tę swoję ukochaną, o bladej twarzyczce, otoczonej promieniami złotawych włosów i oblanej światłem księżyca. Bał się tylko, czy potrafi obraz ten uchwycić i w zimny zakuć marmur.

Równie jak inni, ukrywał on starannie swoję pracę, przed spojrzeniami niepowołanych, a jednak, były dwie pary oczu, które ją oglądały; — pierwsze, to oczy nauczyciela i mistrza Reala, bo coną matkę.

Helena, ukończywszy nauki, powróciła niedawno z klasztoru i zajęła w ojcowskim domu miejsce samoistnej gospodyni i wszechwładnej pani.

Jednak nie trudno było domownikom ulegać jej woli, gdyż posiadała ona pewien rodzaj nakazującej piękności; gdy nieraz w przystępie kaprysu tupała gniewnie o ziemię małą nóżką, usta umiały się jednocześnie uśmiechać tak słodko i mile, że każdy wnet ustąpić jej musiał.

Teraz zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu, że ktoś śmiał jawnie i otwarcie stawić jej opór, co dotąd wydawało jej się niemożliwem.

Helena obdarzyła za pierwszem wi-



Obrzędy weselne ludu w Wiłkomierskiem (na Litwie). (Obacz artykuł na str. 75).

dzeniem, odrazu, szczególną sympatyą utalentowanego ucznia swego ojca, i ona, której nadskakiwał i schlebiał cały rój młodzieży, usuwała się od wszystkich, aby porozmawiać z poważnym Jakóbem, który jednakże nie miał dla niej nigdy pochlebnych i czułych słówek.

Będąc z nią razem, mówił o sztuce lub śpiewał przy lutni, albo też opowiadał jakie zdarzenia z życia sławnych rzeźbiarzy. A że czynił to wszystko bardzo chętnie i gotowym był zawsze spełnić najdziwaczniejsze jej zachcianki, koledzy poczęli go więc posądzać, jakoby serce swe oddał Helenie.

Pod jednym tylko względem, okazał się zimnym i nieugiętym na jej prośby i nalegania, to jest, gdy chciała koniecznie służyć mu za wzór do owej postaci św. Agnieszki.

— Ty jesteś zanadto realnie piękną — tłumaczył jej młody rzeźbiarz. — Czy sądzisz, że święta Agnieszka miała takie ogniste oczka, orli nosek i dumnie wydęte usta?

Uśmiechnęła się radośnie na te słowa, po raz pierwszy bowiem słyszała od niego jakąś wzmiankę, aczkolwiek nie bardzo pochlebną, o swych zewnętrznych przymiotach, więc nie straciła jeszcze nadziei, że osiągnie, czego pragnęła i obmyśliła jeden na to sposób.

W przedsionku ich domu stała we framudze, na podniesieniu statua św. Jana Chrzciciela wyrzeźbiona dawniej przez jej ojca.

Owoż, gdy pewnego wieczora Jaco przechodził tamtędy, usłyszał nagle jakiś szelest. Podniósł oczy w górę, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast św. Jana, ujrzał w tem miejscu postać kobiecą.

Biała szata okrywała ją aż do stóp, włosy miała rozpuszczone, a na rękach, godło niewinności, białego jak śnieg baranka. Byste oczka wzniosła pobożnie ku niebu, a usta złośliwe do miłego złożyła uśmiechu.

Jaco poznał natychmiast, że Helena uciekła się do śmiałego pomysłu, aby mu pokazać, jak w tem przebraniu nadaje się doskonale, by z niej wziął wzór do rzeźby posągu św. Agnieszki i jako św. Agnieszkę w marmurze uwiecznił.

Jednak stanął i patrzył na nią przez niejaką chwilę, bo trzeba przyznać, że wcale nie brzydki przedstawiała obrazek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KARDYNAŁOWIE NA STOLICY WROCŁAWSKIEJ.

(Dokończenie.)

Trzecim w kolei kardynałów wrocławskich był wielkoduszny ks. Melchior Diepenbrock, urodzony na »rudej ziemi,« jak Westfalczycy zowią ulubioną swoją ojczyznę, r. 1798. Według woli ojca, oddał się najprzód służbie wojskowej, potem uczył się prawa świeckiego, lecz nareszcie poświęcił się naukom kapłańskim w Moguncyi i Monasterze; wyświęcony został roku 1824 w Ratyzbonie na kapłana, gdzie przy biskupie Sailerze przez długi czas sprawował urząd sekretarza. Przykład biskupa Sailera, męża według serca Bożego, pobudzał młodego Diepenbrocka codziennie do naśladowania, do doskonalenia siebie i drugich we wierze i prawdziwej miłości.

Te dwie wielkie cnoty odbijały się niejako w jego twarzy. Doszedłszy w Ratyzbonie do stanowiska dziekana kapituły i wikaryusza generalnego, obrany został 15-go Stycznia 1845 r. biskupem wrocławskim. Nie pragnąc honorów, wymawiał i wypraszał się od tej wielkiej dostojności, i dopiero wtedy przyjął wybór na biskupa, kiedy Ojciec św. wyraźnie mu to nakazał. Niezwykłym był według opowiadań starszych ludzi, wjazd jego do Wrocławia. Przed mostem ku Piaskowi aż pod katedrę samą, stały jak mur tłumy tysiącznej ludności, wyglądające nowego arcypasterza. Stali tam i innowiercy a nawet wielu jawnych przeciwników takich, którzy postawili się tam na to, aby tu przeciw boskiej prawdzie »zaprotestować;« trzeba bowiem pamiętać, że bunt sekciarza Rongego szerzył się po Szląsku. Zwolennicy tegóż i inni gotowali się prawie do wybryków. Gdy biskup nowy niebawem nadjechawszy, stanął w powozie i królewskiem okiem powiódł po zgromadzonej ludności, stała się wielka cisza, jak w kościele. Wzrok biskupi poskromił zakusy nieprzyjaciół. Apostolską łaską rozbił nowy biskup zamachy Rongeanizmu i pouczył nie-

zadługo, uskromniwszy buntowników przeciw Bogu, roku 1848 Wrocławian i Szląsk cały, jako się nie godzi też buntować kwoli Boga przeciw królowi. Niezwykłe wrażenie sprawiło też pierwsze jego kazanie po wyświęceniu na biskupa do zgromadzonych wiernych powiedziane. Wypowiedziawszy, jako zawsze i we wszystkiem podług zasad wiary św. rządzić będzie trzodą mu powierzoną, uderzył po trzykroć laską biskupią w kamienną posadzkę, wołając: »Na skale Piotrowej się opieram!« To wystąpienie biskupa poruszyło niejedno serce w obojętności do wiary św. skamieniałe. Przemowę swoję zakończył przysięgą, że chce być Kościoła św. wiernym, sumiennym a katolickim biskupem; co przyrzekł, tego dotrzymał.

Nietylko że obronił swą trzodę od zabłąkań rewolucyi przeciw Bogu i królowi, lecz umiał ją też paść i karmić jako dobry pasterz chlebem niebieskim. Rozpowszechnił Bractwo Trzeźwości i otarł już przez to łzy milionowi nędznych i sponiewieranych rodzin. Zaprowadził misye Ojców Jezuitów, po których podniosły się krzyże pamiątkowe po wsiach i miastach szląskich, opowiadając jako naród cały, szlachetny wybija się z jarzma piekła i wraca do Chrystusa, do Boga. Nie szczędził sił własnych, aby odwiedzać i bierzmować owieczki swoje.

Był to ten biskup, ten kardynał wielki, który w naszych Piekarach, widząc ludu pobożnego nieprzejrzane zastępy wkoło siebie i pragnąc a nie mogąc doń przemówić w jego ojczystej mowie, wyrzekł owe sławne, złote, nigdy nie zapomniane słowa: »Ten palec oddałbym, gdybym do ludu tego teraz umiał choć jedno powiedzieć słowo w jego ojczystej mowie.«

Zaprowadził do dyecezyi wiele nowych zakonów jak Franciszkanów św. Piotra z Alkantary, Siostry Miłosierdzia św. Karola Boromeusza i św. Wincentego, Siostry Zakonu Niemieckiego, Siostry pielęgnujące III Zakonu św. Franc. i Siostry szkół ubogich N. M. P.

Tyle pracy i zasługi apostolskiej stało się przyczyną, że Ojciec św. Pius IX dnia 30 Września 1850 wyniósł go do godności kardynała kapłana; atoli rychła śmierć zakończyła tak błogie i błogosławione życie już 20-go Stycznia 1853 r.

C z w a r t y m k a r d y n a ł e m w lat 40 po zgonie wielkiego ks. Melchiora, został mianowany, obecnie nam szczęśliwie panujący:

Książe-Biskup Dr. Jerzy Kopp,

Prałat Jego Świętobliwości Ojca św., Stolicy Apostolskiej poddany bezpośrednio, doktor św. teologii, rycerz orderów najwyższych, członek rady państwa Pruskiego, jako i austryackiej izby panów i sejmu szląskiego.

Dostojny nasz arcypasterz, kardynał biskup dr. Kopp, urodził się 25 Lipca 1837 r. w Duderstadt, w królestwie hanowerskiem; został wyświęcony na kapłana 29 Sierpnia 1862 r., mianowany biskupem fuldajskim 15 Listopada 1881 roku, przeniesiony na stolicę wrocławską 9 Sierpnia 1887 r., wprowadzony na biskupstwo wrocławskie 20 Października 1887 r., kardynałem mianowany 16-go Stycznia 1893 r.

Zbyteczną głosić obszernie zasługi dostojnego Arcypasterza, gdyż zwłaszcza obecnie wszyscy o tem mówią; mówi i historya walki kulturnej, którą przezorna mądrość jego umiała uśmierzyć tak daleko, że według słów Ojca św., utorowaną została droga do pokoju. Jego zadanie było wielce trudne, boć nie traktowało się z dobrodusznymi katolikami, ale trzeba było wydostać te skarby drogie z rąk przeciwników, według pojęć tego świata niezwykle mądrych i zręcznych. Katolicy szląscy tak polscy, jak niemieccy zarówno powinni mieć do niego zaufanie i w potrzebach a uciskach swoich nie obawiać się, lecz szukać pomocy i rady u tej naszej od Boga ustanowionej instancyi. Bóg, który czuwa nad ziemią szląską przez wieki zarówno, niechaj udzieli nowemu naszemu kardynałowi mnogich lat szczęśliwego dla Kościoła św. i dobra ludu katolickiego panowania.

X. L.

Dziwne pieniądze.

Jedną z największych przeszkód z jaką angielskie i niemieckie towarzystwa kolonizacyjne, jak i wszyscy podróżnicy w Afryce mają do walczenia, jest to, iż muszą być zawsze opatrzeni w pieniądze dla prowadzenia handlu z krajowcami. Przeszkodą mianowicie jest posiadanie niewłaściwego gatunku pieniędzy. Nie ma żadnego przedmiotu na całym świecie, któryby mógł służyć za wspólny środek wymiany wzdłuż i wpoprzek Afryki. A ponieważ czarnoskórcy w Afryce pod względem pieniędzy są tak szczegółowymi, jak i ludzie w innych częściach świata, byłoby przedewszystkiem potrzebnem dla przeistoczenia Afryki na dobre pole dla cywilizacyi i przedsiębiorstwa handlowego, aby zaprowadzono wspólny pieniądz.

Wielką przeszkodą jest to, że ludność Afryki jest podzieloną na liczne plemiona i szczepy, z którego każdy prawie ma własny środek wymiany pieniędzy i nie uznaje innych, gdy ma do czynienia z ludźmi cudzymi. A te środki są niezmiernie rozmaite począwszy od austryackiego talara, na którym się znajduje wyobrażenie cesarzowej Maryi Teresy aż do tuczonych psów.

Z wszystkich bitych pieniędzy jest talar Maryi Teresy najwięcej rozpowszechniony w Afryce. Terytoryum jego rozciąga się od miasta Fez w Marokko, aż do Londynu Sudanu, wielkiego miasta handlowego Kam, i obejmuje więcej aniżeli czwartą część całej Afryki, około 4 miliony mil kwadratowych, na którym to obszarze przebywa 70 milionów mieszkańców. Lecz i ten pieniądz jest różnym.

W Kassali, na przykład, nie dają całej wartości za talara Maryi Teresy, jeżeli nie ma daty 1780, biustu cesarzowej, korony ozdobionej siedmiu dobrze się uwydatniającemi jabłkami i litery S. F. w pobliżu brzegu. Skoro pieniądz ma wszystkie te oznaki, krajowcy nazywają go »abugnukhte« (ojciec zadowolenia). Dalszą oznaką prawdziwości tej monety jest czarnawy kolor metalu wskutek przechodzenia przez rozliczne ręce. Suahetowie nazywają takie czarnawe pieniądze »resli meon« (czarne dolary) i chętnie takowe biorą.



Obrzędy weselne ludu w Wiłkomierskiem (na Litwie).

(Obacz artykuł na stronie 75.)

W roku 1887 Anglicy, gdy podjęli swą wyprawę do Abissynii, zabrali ze sobą znaczny zapas nowych, pięknych talarów Maryi Teresy umyślnie dla nich w Wiedniu bitych, lecz krajowcy podejrzliwie patrzeli na tę monetę, ponieważ była tak niezmiernie nową i świecącą. Tymczasem talar Maryi Teresy jest jedyną monetą, która w tej części Afryki jest braną i uznaną. Pieniądz ten rozpowszechnił się nader szybko.

W roku 1793, tylko trzynaście lat po śmierci cesarzowej Maryi Teresy, pierwszy Europejczyk, Anglik Brava, znalazł te talary tam w znacznej liczbie. Choć go zrazu używano tylko jako ozdobę, to jednak piękny ten pieniądz srebrny stał się regularnym środkiem wymiany, znajdując drogę do każdego kąta północnej Afryki.

Z innych kruszców używa się dużo miedzi w Afryce na pieniądze. Tak zwany Niam-Niam ma cal średnicy. Podróżnicy więc do terytoryum Niam-Niam byli zmuszeni mieć ze sobą kilku kotlarzy, a ci, skoro przybyli do Niam-Niam, zajmowali się przerabianiem sztuk miedzi na pierścienie różnego rozmiaru — od wielkości bransoletki do maleńkiego pierścionka. A Niam-Niam tak bardzo lubią ten rodzaj pieniędzy, że za najmniejszy pierścień miedziany (nie mający wartości grosza) można od nich kupić tłustą kurę.

Żelazo jest także używane w ten sposób pomiędzy Afrykanami. Ponieważ na targu się ukazywało w kawałkach, i miano nawet różne dla kawałków nazwy, n. p. »kawałek rumu,« to jest wartość żelaza za pewną ilość rumu — zwyczajnie galon; »kawałek tabaki,« to jest wartość 20 kółek tabaki. Dzieje się to jeszcze w środkowej Afryce. Przy ujściu rzeki Niger naprzykład w Bomey, kuje się żelazo na kształt podkówek, które wtenczas mają nazwę »ighi« lub też »manilla«. Inny jeszcze kształt na-

dają żelazu w terytoryum, przez które płyną rzeki wpadające do białego Nilu.

Plemię Bengo ma monetę żelazną, podobną do łopaty z trzonkiem i z końcem podobnym do kotwicy. Monetę tę nazywają »loggo colluti«. Największy pieniądz żelazny będący tutaj w używaniu ma jednę stopę średnicy. Ten skarb układają handlarze krajowi w swych składach tak samo, jak w innych krajach przechowują srebro i złoto. Za dziesięć takich kręgów żelaznych ważących do dwóch funtów młodzieniec może kupić swą ulubioną od jej ojca. Jeżeli się nie może zdobyć na 100 takich kręgów, to trudno mu żonę dostać.

Oprócz metali używają w Afryce także soli za środek wymiany. Tak się dzieje w Abessynii i pewnych okręgach w północnej Afryce. Kawały tej soli, zwane »alliola,« pochodzą ze wschodu alp abessyńskich. Są podobne do kamieni do szlifowania z jedną stroną cokolwiek śpiczastą i ważą każdy funt i ćwierć. Wielbłąd może unieść 500, muł 250, a człowiek 60 takich kawałków.

Za talar Maryi Teresy dają Afar'owie 100 takich kawałków soli, Adoanie tylko 40, a Gaudarowie tylko 30. Aby zapobiedz utraceniu wagi allioli, bywa tenże obwijany w korę. Plemię Kissama czyli Koanza w Angola zabezpiecza sól w podobny sposób.

W Afryce istnieje także rodzaj pieniędzy papierowych. Nad wybrzeżem Loaozo n. p. mają »umbougo,« rodzaj maty papierowej mającej rozmiar stopy kwadratowej. Za sto takich można dostać sztukę sukna. W środku Sudanu jest monetą sztandarową, tobe, kawał materyi bawełnianej, a w Kanemie koszula bawełniana.

Z drugiej strony są w Dikoa, w kraju Adomah, w Logona i innych miejscowościach szmaty bawełniane pieniędzmi. W Barigari szmaty te są tak małemi, że od 70 do 150 potrzeba zeszyć, aby z nich zrobić koszulę. W Darfurze szara, gruba materya na koszule uchodzi za pieniądze, a w Tiont, w Górnym Egipcie, materya ta bywa farbowana na ciemno lub niebiesko i pocięta na kawały, po trzy łokcie każdy.

Paciorki ze szkła uchodzą także za pieniądze, lecz wartość ich zależy od gustu różnych plemion i dla tego też nie są uważane za pieniądze sztandarowe. Więcej niż raz znalazł się podróżnik afrykański nagle w terytoryum, gdzie paciorki, które przywiózł ze sobą, nie podobały się krajowym pięknościom, które krótki czas przedtem polubiły inny rodzaj paciorków. A jedyny sposób zniewolenia ich do przyjęcia tych paciorków jako zapłatę za żywność, jest ten, iż im się daje wspaniałomyślnie więcej paciorków. W południowo-zachodnich okręgach Afryki są ulubione wielkie, czerwone paciorki okrągłego lub cylindrowego kształtu, jako i małe paciorki koloru indygo, małe czarne i inne z czerwonemi kreskami.

Tak zwane »kaori« uchodzą za pieniądze po niezmiernym obszarze; cienkie te muszle, podobne do porcelany, mają po większej części kolor wątrobiany; można je znaleźć masami na wyspach należących do Maldivian grupy. Kolor jest białym, żółtym lub brunatnym. Mała ta muszla mierzy od dwóch trzecich cala do cala i pół i bywa zwyczajnie wysełana do Londynu a ztąd do Afryki. Tona tych »kaoris« kosztuje na wyspie Ceylon od 3.50 do 3.75 dolarów.

Muszle te służą od wielu wieków za pieniądze w Afryce. Handlarz arabski, Ibu Batuta, poznał takowe wzdłuż rzeki Niger w czternastem stuleciu, a do Afryki mieli ją przywieść Portugalczycy; dzisiaj nie mają już takiej wartości jak dawniej.

Trzydzieści i pięć lat temu było można w kraju Unjoro kupić krowę za 10 kaori. Teraz potrzeba całego ładunku. Burtoa, podróżnik powiada: Są to bardzo niewygodne pieniądze. Trzeba silnego człowieka, aby uniósł z nich tyle, ileby miało wartość dwóch dolarów.

Ostatnim rodzajem pieniędzy w Afryce jest bydło i inne zwierzęta. Na pierwszem miejscu znajdują się woły, po nich następują konie, wielbłądy, ko-

zy i psy. Najbogatszym, tak jak za czasów patryarchów, jest ten, który posiada najwięcej bydła.

Pomiędzy Unyamwazi'ami ojciec sprzeda córkę za jednę do dziesięciu krów. Lomali żąda od młodzieńca ubogiego, starającego się o rękę jego córki 10 do 20 koni, lecz bogaty musi dać więcej, aniżeli sto, a oprócz tego 500 wielbłądów i 300 owiec.

Z drugiej zaś strony można w Uganda kupić za żonę najpiękniejszą dziewczynę za cztery woły, z dodatkiem sześciu igieł i puszki z nabojami.

Obrzędy weselne ludu w Wiłkomierskiem (na Litwie).

Nigdzie może to przysłowie: co kraj, to obyczaj, tak obszernego nie ma zastósowania, jak na Litwie. Tu nie tylko w każdej gubernii, w każdym powiecie, lecz nieledwie w parafii każdej znaleść można wydatne różnice, tak pod względem ubiorów i języka, jak niemniej zwyczajów i obyczajów. Tę rozmaitość uważać należy za wynik charakteru Litwina, który nierad się wychyla poza obręb swej wsi i parafii i mocno się trzyma wiary i obyczajów.

Lud Wiłkomierski, usadowiony w samem sercu Litwy i odsunięty od obcych wpływów, najlepiej zapewne przechował swą narodowość, a więc i obyczaje, będące najwymowniejszym jej wyrazem. Chociaż czas i chrześciaństwo niejeden zwyczaj barbarzyński wytępiły, niejednę ceremonię skasowały, jednakowóż nie niszczy to najwydatniejszych kształtów pierwotworu, nie zaciera udatnych jego rysów, lecz łagodzi jaskrawość kolorytu i ostrość zarysów, nowych mu wdzięków przyczyniając.

Pierwszym aktem weselnych obrzędów, są właściwie zamówiny czyli oględziny. Zwykle mają one miejsce w jakiem sąsiedniem miasteczku na kiermaszu, n. p. w Wiłkomierzu na świętych Piotra i Pawła, lub w Kowarsku na św. Jana. Tłumy młodzieży obojej płci ze wszech stron zgromadzonej, tu zabierają znajomość, tu wypatrują doczesne towarzyszki lub towarzyszy swojego żywota. Podeszłe matrony wielką tu (jak i wszędzie podobno w takich razach) odgrywają rolę: one dobierają młode pary i starają się je zbliżyć. Jednakże w bardzo rzadkich tylko razach, młodzieniec bierze żonę z odległych wsi; odległość milowa już się uważa za przestrzeń zbyt daleką, a więc niedogodną i wielkich zachodów wymagającą. Jeśli młodzieniec znajdzie i upodoba skrzętną, gospodarną dziewoję, (bo na te przymioty szczególnie zważają w wyborze małżonki), nie oświadcza jej zaraz swoich chęci, lecz wybiera (zwykle ku jesieni) swata, który w świątecznej sukmanie, z baryłką lub flaszą gorzałki, jedzie w najbliższy Wtorek do wsi, w której się wybrana znajduje. Zauważmy tu, że wybór dni gra niepoślednią rolę w obrzędach weselnych. Każda część ich nie może się inaczej, jak w pewnym, od dawna ustanowionym dniu, odbywać. I tu, jak wszędzie, przebija się wykrętna natura naszej pierwszej rodzicielki Ewy. Lubo zazwyczaj jakieś niepojęte przeczucie szepnie dziewczynie o przybyciu tak pożądanego gościa, jakim jest swat, przecież stara się okazać najzupełniejszą obojętność, nieledwie wzgardę dla całej płci męzkiej i z zadartemi rękawami koszuli, ściera, zamiata, myje, sprząta, czyści, skrobie, szoruje — słowem pracuje za czterech. Jednak baczny dostrzegacz w samem tem zacięciu do pracy, dostrzegłby nie małą zalotność; jakóż gładko zaczesane włosy i staranniej niż zwykle umyta twarz, najlepszym są tego dowodem. I co się tyczy pracowitości, to jest rzeczą niezawodną, że gdyby codzień podobnie mili goście przyjeżdżali, wieśniaczka litewska przewyższyłaby wszystkie inne w skrzętności i gospodarskich zatrudnieniach.

Swat tymczasem toczy z rodzicami

obojętną rozmowę o ciężkich czasach, nieużytości dziedzica, srogości ekonoma, zdzierstwach arendarza, nieurodzaju itp. nie spuszczając jednak oka z dziewczyny, której przymioty wychwala i wszelkiemi siłami usiłuje zapoznać ją z zaletami swego klienta. Wreszcie powstaje z uroczystą powagą i oświadczywszy cel swego przyjazdu, bez wybiegów i wykrętów, pokornie o rękę dziewczyny prosi. Z tą prośbą łączy, jako dowód dobrej chęci przywiezioną gorzałkę, której przyjęcie lub odmówienie przychylną lub nieprzychylną oznacza odpowiedź. W pierwszym razie interes jest skończony, sprawa zapita a córka przyrzeczona. Wola rodziców, jest wolą córki, i nie słyszeliśmy nigdy przykładu, aby kiedykolwiek córki a nawet synowie stawili rodzicom opór. Ztąd też i dziewczę przywołane, udając najprzód niewiadomość, o co rzecz idzie, a skoro pozna prawdziwą przyczynę, starając się okazać swój wstręt do małżeństwa i do wódki, którą jej podają, jakby rzeczywiście i jednem i drugą gardziła, gdy się dowie o woli rodziców, odpowiada z pokorą, że ich wola jest ich wolą. Zaiste warto widzieć dziewczynę przy tej odpowiedzi. Postać jej przytem pełna zakłopotania i jakiejś udanej niechęci; stojąc tyłem do swata, bokiem do rodziców, odpowiada na ich zapytania swojem niezrównanem: Każna? (Kto wie?)

Wreszcie przyrzeczenie otrzymane. Na ubicie dobrej sprawy częstują dziewczynę gorzałką. Lecz i tu zwyczaje przepisują jej pewne fortele, nie da się odrazu uprosić, owszem długo się wzbrania i niby sprzeciwia, aż wreszcie z udanym wstrętem, zasłaniając oczy lewą ręką, przytyka kieliszek do ust prawą, z parę razy pokosztuje, zmarszczy się, skrzywi, splunie i wychyliwszy wreszcie napój, ucieka skwapliwie do komory.

Przystępujemy teraz do drugiego aktu ślubnych obrzędów. W niedzielę następną zaraz po mszy, w towarzystwie swata, przyjeżdża pan młody w progi swojej ukochanej, przywożąc dla niej i dla jej rodziców dary, na jakie go staje. Jest to rodzaj zaręczyn, a właściwiej ostatecznych umówin o przyszłym ślubie, zapowiedziach, weselu, posagu, (krajczys) i t. d. Odtąd rozpoczyna się epoka nieustannych darów, narzeczony obdarza narzeczoną, ta narzeczonego, oboje swoich rodziców i powinowatych, którzy także wzajemnością odpłacać się winni. Narzeczona tak dla zjednania sobie rodziców narzeczonego, jak niemniej dla okazania im swoich zdolności, posyła dla swojej świekry stan lub więcej płótna własną utkanego ręką.... Czas pomiędzy zaręczynami i weselem spływa na rozmaitych przygotowaniach, tu mają miejsce zapowiedzi, wybór drużbów, swaci, poselstwa do dworu, jeżeli ten istnieje i t. d. Co się tyczy wyboru weselnych urzędników, te nienazbyt łatwo następują; największa, mianowicie trudność zachodzi w uproszeniu jakiej podżyłej matrony na swację. Ten bowiem urząd nietylko iż wymaga przezorności i doświadczenia, lecz nadewszystko pociąga za sobą nie małe, jak na lud prosty, wydatki. Pomimo to jednak zamożniejsi włościanie starają się dobrać dwie swacie, jedną od młodego, drugą od młodej. Do swatów i swaci należy cały wewnętrzny zarząd wesela. Swat i swacia mają wielkie znaczenie, ojcowie i matki chrzestne zdają się niższy od swatostwa stopień zajmować. Dla pana młodego dobiera się po kilku drużbów (jannikas); toż samo robi się i dla panny młodej. Przybrany w najlepsze szaty, więc w kusy biały barani kożuszek, opasany rzemykiem w mosiężnej klamrze, bóty z długiemi cholewami i czapkę z przypiętą wiązką ruty, — oto drużba; śmiało naprzód pogląda, śmielej jeszcze drobnym mierzynkiem toczy i gromkim głosem wyśpiewuje przekazane od praojców pieśni. Ilość drużek nie jest stale określoną, może być jedna, dwie, trzy, pięć, dziewięć i więcej; wszakże zawsze jedna z nich jest najstarszą i nieodstępną towarzyszką panny młodej. Lecz czas już przystąpić do samego wesela. Jeszcze ciemno na dworze i kury ledwie piać przestały, a już tak w chacie młodego, jak młodej, krzątanina, bie-

ganie, powszechne zajęcie. Pan młody, wespół ze swoją drużyną, czyści konie, uprząż, smaruje bóty i niecierpliwie oczekuje pory wyjazdu. Panna młoda również krząta się koło domu, myśląc o tej zmianie, jaka ją czeka. Przywdziawszy jedwabną fałdzistą spódnicę, żupan granatowy z amarantowymi wyłogami, upstrzyła głowę seciną różnobarwnych wstążek i oczekuje pana młodego. Wtem rozlega się tętent koni wraz z wesołemi okrzykami młodzieży. Jest to znak przyjazdu pana młodego. We wsiach osobliwie zamożniejszych, ta butna postawa kilkudziesięciu dorodnej młodzieży, miłe sprawia wrażenie, a to tem więcej, że wyraz niewolniczej pokory, rozlany nie tylko na obliczach, lecz w całych postaciach litewskich kmieci, tu, dzięki kilku chwilom wesela, ustępuje miejsca męzkości i otwartości. Nawet konik kurczący się pod ciężarem sochy lub obładowanego wozu, parska raźnie i tak śmiało stąpa, jakby czuł gdzieś zdala czaty krzyżowca. Nie tak łatwo jednak trafić do celu swoich pragnień! Drużbowie młodej zamykają wrota i w obronnej stoją postawie.

Po długich z obu stron sporach i prośbach, wychodzi marszałek, czyli swat panny młodej i następna zawiązuje się rozmowa:

Marszałek: »Kto tam?«

Jeden z drużbów młodego: »Goście niebywali.«

Marszałek: »A wielu was jest?«

Drużba: »Ile słońce ma promieni, piasku morze, liści drzewo, ile złości jest u pana, tylu nas młodych, rzeźkich chłopaków, bogato ustrojonych, na rumakach siedzących, słodkie słówka mówiących.«

Marszałek: »Czegóż wam potrzeba, jakich wygód, abyście godnie byli przyjęci?«

Drużba: »Potrzebujemy noclegu, zabawy, słodkich słówek, potraw. My i konie nasze znużone, trzeba więc dla nas białych łóżeczek, pulchnych poduszeczek, cienkich prześcieradeł, śnieżnych obrusów, koniom stajenek, czapkom gwoździ, żupanom stołeczków, dla świecących butów podłogi, a dla naszego księcia, księżyca światłego, słonecznej dziewicy.«

Marszałek: »Jeśli więcej o nic nie prosicie, wszystko się tu u nas znajdzie. Wejdźcie w Imie Boże.«

Zazwyczaj jednak na gołych się słowach tu nie kończy, lecz pan młody



Z ŻYCIA KSIĘŻY TRYNITARZY.
(Obacz objaśnienia rycin na str. 80.)

musi się opłacić za swoje wejście. I dodajmy tu nawiasem, że te wykupy i opłaty ze strony młodego na każdym kroku się powtarzają. Po licznych na wsze strony ukłonach, pan młody dobywa parę trzewików, które ofiaruje swej narzeczonej. Ta jednak przyjmuje je tylko po długich korowodach, a nawet wcale nie dwuznacznych połajaniach, które atoli nikogo nie obrażają. Druż-

bowie wszakże młodego strzegą, aby ich na piec nie rzuciła, bo w takim razie musieliby je wykupywać od dziatwy tam siedzącej. Wtem podchodzi do młodej wybrany z grona młodzieży mówca, niosąc na talerzu wianek, w ten sposób chustą owinięty, iż jej końce tworzą u spodu rodzaj rękojeści. Pod chustą na talerzu kładą, zapewne jako godło dostatków, kilka sztuk drobnej miedzianej monety. Przy wręczaniu wianka, mówca zwraca się i do swaci z temi słowy: »Prosimy swaci przyjąć ten zielony ruciany wianek i uwieńczyć nim głowę panny młodej i do świętego zanieść kościoła, a stanąwszy u pańskiego Majestatu, ofiarować go na cześć i chwałę Panu Bogu.«

Ledwie mowa przebrzmiała, aliści drużki biorą wianek i przypinają go do włosów panny młodej, która też nie rozstaje się z nim aż do powrotu ze ślubu, a właściwiej do włożenia sobie przez swacię czepka. Następują wreszcie liczne błogosławieństwa i to nietylko rodziców i starszych wiekiem krewnych, lecz wszystkich bez wyjątku obecnych. Oblubienica w towarzystwie najstarszej drużki, okrywszy głowę i twarz obszerną chustą, aby tem lepiej ukryć sztuczne wyciskanie łez cebulą, chodzi od jednej do drugiej osoby, kłaniając się aż do ziemi każdej z osobna, i piskliwym głosem opłakuje przeszły i przyszły stan, jakby pierwszego istotnie żałowała, a drugim się brzydziła. Podczas tego, domownicy starają się przybrać również posępne miny; przeciwnie zaś strona oblubieńca winna największą okazywać radość. Skłaniając się do nóg rodziców i krewnych, panna młoda powtarza: »Bogosłowski! mani szy niedielas rytu su żalu rutu wejnikieli, szyłku kośniku.« (Błogosławcie mnie tej niedzieli rano, w zielonym rucianym wianku, jedwabnym kaśniku).

Zachodzą wreszcie parokonne wózki, rżą konie, lepiej dnia tego karmione, brzęczą dzwonki, woźnice trzaskają z batów, i całe weselne grono, z muzyką na czele i konną gromadą młodzieży po bokach, pędzi do parafialnego kościoła na ślub.

Po odbytym ślubie drużbowie młodej odprowadzają ją do połowy kościoła, gdzie przechodzi w ręce drużbów młodego, którzy odtąd jej nie odstępują.

Z kościoła całe grono biesiadników rusza do najbliższej karczmy, jako głównego wsi każdej ogniska. Tu następuje obiad i tańce. Do najpopularniejszych tańców należą: poduszeczka, kukawka, szumka i król. Wdzięku w tych tańcach mało, mniej jeszcze życia; ani ich równać można ze skocznym krakowiakiem lub wdzięcznym mazurem. Dostrzeżesz tu natomiast jakąś melancholiczną powagę, nieledwie smutek.

Z karczmy weselna czerada odjeżdża przy hucznych śpiewach, przerywanych kiedy niekiedy dźwiękiem skrzypiec i odgłosem bębna, do domu panny młodej. Pan młody, jednak z drużyną swoją wraca do swego domu, i dopiero na drugi lub trzeci dzień przyjeżdża już ostatecznie do oblubienicy.

(Dokończenie nastąpi).

JAŁMUŻNA UBÓSTWA.

W pewnej wsi zostawił zacny dziedzic fundusz dla najpilniejszej i najwzorowszej dziatwy szkólnej. Przed Bożem Narodzeniem wybierał miejscowy pleban najlepszych uczni, którzy pod kierownictwem nauczyciela w święta przedstawiali w szkole sceny z historyi Bożego Narodzenia, n. p. pasterzy betleemskich, trzech króli i t. p. Była to zabawa niewinna dla całej wsi, a dla dziatwy odznaczenie, bodziec do pilności i cnoty, a ostatecznie jeszcze korzyść materyalna, bo owe wybrane chłopcy otrzymywały nowe ubranie i dwa talary.

Razu pewnego wybrany został na pierwszem miejscu mały ośmioletni Józefek, syn ubogiej wdowy. Malec nie posiadał się z radości, mianowicie gdy patrzał na matkę, która wraz z innemi kobietami była obecną przy wyborze dzieci. Róża, tak było imię matce, także mocno była uradowaną i wychodząc ze szkoły, rzekła do plebana:

— Bóg zapłać, Księże Dobrodzieju! Od śmierci męża jestto pierwsza radość, której doznałam. Mój Józefek bardzo pracował, aby tę nagrodę otrzymać; chodziło mu też niemało o te dwa talary, za które naszą zakopconą izdebkę będziemy mogli cokolwiek odświeżyć, a ubranie też mu bardzo potrzebne.

Pleban uśmiechnął się z zadowoleniem; znał on biedne mieszkanie wdowy, bo często wszystkich swoich odwiedzał parafian.

— No, — odrzekł — jak sobie izdebkę odnowicie, to przyjdę ją obejrzeć. Nad Józefka łóżkiem zawieszę wtenczas obrazek Matki Boskiej.

Matka i syn poszli uradowani do domu. Naprzeciwko ich domu mieszkała poczciwa kobiecina, wdowa, która pracą rąk swych utrzymywała starą matkę i synka swego Franusia, rówiennika Józefa. Stara matka chorowała już od kilku tygodni, a wdowa nie mogła, jak dotychczas, chodzić do roboty. Nie mogła więc zapłacić komornego i miała się koniecznie wyprowadzić; ale jakże tu wśród zimy chorą staruszkę wynosić? Biedna kobieta siedziała w kąciku swej izdebki i płakała, gdy Róża uradowana wszedłszy ze swoim chłopcem, zapytała sąsiadkę, dla czego płacze i przez długi czas naradzała się z nią, cóż tu począć, ale nie było drogi wyjścia. W przeciągu ośmiu dni musiało komorne chociaż w części być zapłacone, albo też z chałupki trzeba się było wynosić — innej rady nie było.

Róża poszła zasmucona do domu, bo niedola sąsiadki kamieniem ciążyła jej na sercu, a bolało ją to, że nie mogła dopomódz, bo sama była ubogą. W nocy nawet spać nie mogła, tylko myślała, jak tu poradzić. Nagle dobra przychodzi jej myśl: wszakże Józef odbierze dwa talary! Gdyby sąsiadka miała te pieniądze, byłaby rzecz załatwiona, bo mogłaby zapłacić część komornego, a z resztą by właściciel zaczekał, tymczasem zaś mogłaby też wdowa coś zarobić. Ale sąsiadka nie przyjęłaby tych pieniędzy od niej, ubogiej jak ona, — lecz i na to jest rada. Trzeba poprosić księdza proboszcza, aby Franusia zamiast Józefka wziął do przedstawienia, a może to zrobić, bo Franuś też dobry chłopiec, tak samo jak Józefek, któremu korona z głowy nie spadnie, jeżeli jeszcze dłużej w łatanej chodzić będzie sukmanie; z odnowieniem izdebki też nie taki gwałt, — wszakże ona wygodniejsza i daleko lepsza, niż stajenka, w której się nasz Zbawiciel narodził!

Uszczęśliwiona tym pomysłem usnęła wreszcie Róża. Nazajutrz z rana rzekła do chłopca:

— Pewnie bardzo się cieszysz, że cię nasz dobrodziej wybrał? Ale co ty powiesz na to, że nasza sąsiadka chora i że ją chcą z chałupy wyrzucić, bo nie może komornego zapłacić?

Józefkowi łzy zakręciły się w oczach.

— A gdybyś to mógł zrobić, aby ich nie wyrzucono z domu, czybyś to uczynił?

— Ach, jakże chętniebym to uczynił! Ale ja nie mogę!

— Możesz, dziecko kochane, możesz; potrzebujemy tylko poprosić księdza proboszcza, aby zamiast ciebie wybrał Franusia, a te dwa talary mogłyby ich uratować.

Józefek namyślił się przez chwilkę, potem rzekł:

— Idźcie, matko, do księdza proboszcza, i proście go o to. Ja tak się będę uczył, że nagroda na drugi rok mnie nie minie.

Róża poszła do plebana i opowiedziała mu wszystko.

— Ale moja kobieto, — odezwał się tenże — te dwa talary i wamby się bardzo przydały!

— Tak jest, księże dobrodzieju, ale w zakopconej izbie można jeszcze mieszkać i w starej odzieży pójść do kościoła, lecz chora nie może się wśród ostrej zimy wyprowadzać i wkwaterować na ulicę! Mogłabym ja dać sąsiadce te dwa talary, ale ona by ich nie przyjęła.

— Dobrze więc, stanie się, jak chcecie, a Pan Bóg wam i synowi waszemu pobłogosławi.

— To prawdziwa miłość bliźniego — rzekł do siebie pleban po odejściu wdowy, — i tę najczęściej znaleść można pomiędzy ubóstwem. Mój Boże! Jakże piękną w oczach Twoich musi być ta ofiara! Wszakże Zbawiciel sam powiedział o groszu wdowy, że ta więcej dała, jak wszyscy inni, bo ci dali ze zbytniego, ona zaś z tego, co jej tak było potrzebne!

Nie potrzebuję dodawać, że Józef i matka jego nie pozostali bez nagrody i nie ucierpieli na swej ofiarności; o to już pleban umiał się postarać.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Z życia ks. Trynitarzy. W średnich wiekach powstał zakon księży Trynitarzy, którzy wzięli sobie za szczególne zadanie, wykonywać uczynek miłosierny co do ciała: więźniów pocieszać. Chodzili tedy po krajach wschodnich, gdzie wówczas Saraceni rozbójnicze rzemiosło sprawując, napadali podróżnych na lądzie i na morzu, zabierali w niewolę i prowadzili do wielkich miast na targ, aby ich, jak bydło, dalej sprzedać. Księża Trynitarze wykupowali od nich więźniów biednych za pieniądze, zebrane od wiernych. Nieraz zabrakło im pieniędzy; wtedy zakonnicy siebie samych ofiarowali za więźniów; sami przyjęli kajdany sromotnej niewoli, aby bliźniego od niej wybawić. Szlachetne to zadanie świadczy, jak wielką miłością bliźniego pałali ci zakonnicy i jak się poświęcali dla dobra ludzkości.

Zakon ten założony został w Corfey we Francyi przez pustelników Jana z Maty i Feliksa Walois. Papież Inocenty III go potwierdził. Rozszerzył się bardzo szybko, zwłaszcza w Europie południowej. Reguła, ułożona na podstawie reguły św. Augustyna, była początkowo bardzo ostra; w r. 1567 złagodzono jej ostrość. Pod koniec wieku 16-go powstali w Hiszpanii bosi Trynitarze. Ubiorem tych zakonników był biały habit z krzyżem czerwonym i niebieskim na piersiach. W r. 1201 powstał też zakon żeński Trynitarek, mający ten sam cel wykupowania jeńców chrześciańskich z rąk Mahometan.

Polska, zawsze gorliwa w sprawach wiary i pełna katolickiego ducha, zapragnęła i ten zakon mieć u siebie. Bogaci Polacy ofiarowali znaczne majątki na własność Trynitarzom, aby na polskiej ziemi osiedli. Jan Sobieski, bohater z pod Wiednia, równie dzielny i rycerski, jak pobożnego ducha, dał polecenie sprowadzenia Trynitarzy do Polski. W r. 1685 ufundowano pierwszy klasztor. Wkrótce rozszerzyli się po całej Polsce; klasztory powstały: w Warszawie na Solcu, ufundowany r. 1693 przez wojewodę Felkierzamba; w r. 1865 zamieniony został ten kościół na świecki, bo Moskale klasztór skasowali Oprócz tego istniały klasztory Trynitarskie we Lwowie, Krakowie, Stanisławowie, Beresteczku, w Wilnie w części miasta, zwanej Antokolem, w Trynitopolu pod Wilnem, w Kamieńcu podolskim, Łucku, Orszy, Tamanowie, Brześciu Litewskim, Lublinie, Krotoszynie, Bracławiu, Teofilpolu i w Bursatynie. Tyle było tych klasztorów za polskich czasów. A gdzież są, gdzież się podziały? Przesiano je przez owe znane »sita,« przez które gdy co przepuszczą, znika, ginie na zawsze...

Niewidome, zajęte szyciem i haftowaniem. Niewidomy, — to człowiek bardzo nieszczęśliwy. Któż się nie raduje ze światła, z jasności? A u niewidomych wieczna ciemność, wieczna noc. Dla tego szczególną miłość powinni okazywać wszyscy, co widzą, tym nieszczęśliwym. Dawniej, skoro niewidomy z biednych rodziców pochodził, był skazany na żebractwo. Dziś wielu z nich znajduje pomieszczenie w zakładach, gdzie nietylko mają opiekę, lecz gdzie także nauczą ich różnych robót n. p. szycia i haftowania. Podziwienia to godna nauka, skoro potrafi doprowadzić niewidomych tak daleko, iż wykonują prace, do których oczy prawie niezbędne są. W tych zakładach uczą też grać na fortepianie, na skrzypcach, a oprócz szycia i haftowania, jeszcze różnych ręcznych robótek n. p. wyrabiania płócienek, siatek, koszyków i t. p.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Dodatek do kawy.** Aby do kawy nie brać cykoryi, której nie lubię, urządzam sama następujący dodatek do kawy. Kupuję 2 funty fig po 25 do 30 fen., pokraję je w drobne kawałki, posypuję na blachę i wsuwam do piecyka podczas gotowania tak długo aż nie nabiorą ciemnobrunatnego koloru. Mielę je zaraz na młynku od kawy dopóki są twarde, sypię proszek do słoików i biorę z niego na 4 filiżanki jedną pełną łyżeczkę od kawy. Kawa z tym dodatkiem gotowana nabiera słodyczy i śliczny ma kolor.

— **Kawa jałowcowa.** Lekko uprażonych i przetłuczonych jagód jałowcowych $3^1/_2$ dkgr. gotuje się w pół litrze wody, a gdy się parę razy zagotuje, osładza odwar małą ilością cukru. Napój ten daje się po filiżance z rana, co 2 lub 3 godziny, chorym na wodną puchlinę, a nie mającym gorączki.

— **Naczynia drewniane** do mleka lub wody powinny być dobrze wyparzone, nim je się do użycia weźmie; naczynia z drzewa sosnowego trzeba wyparzać gotującem mlekiem, z drzewa dębowego gotującym się olejem. Tym sposobem wyparzone naczynia dadzą się potem łatwo czyścić i ani woda ani mleko nie wsiąka.

— **Gdy się w garnkach emaliowanych** woda często gotuje, osadza się na dnie twardy osad; aby takowy usunąć trzeba garnek próżny dobrze rozgrzać i wytrzeć dobrze skórką od słoniny.

— **Pranie czarnych jedwabnych koronek.** Pół spirytusu, pół wody zmięszać i w tem koronki ostróżnie wyprać potem dobrze rozskubać podług desenia, włożyć pomiędzy dwie bibuły i gorącem żelazem wyprasować.

— **Przesadzanie kwiatów pokojowych.** Jeżeli listki zaczną żółknąć i cały wygląd rośliny wygląda chorobliwie, to jest znakiem, że kwiat lepszego potrzebuje wyżywienia. Lecz przyczyną takiego wyglądania, jest też często i to, że jest w ziemi niestósownej lub, że w niej są glizdy lub też za wiele ma wilgoci, w każdym razie koniecznie je przesadzić trzeba. Aby korzeni nie uszkodzić przewraca się doniczka na dłoń tak, aby łodyga kwiatu była pomiędzy palcami, wtenczas się cokolwiek doniczką o stół uderza, aby ziemia wyszła i w ręku pozostała. Jeżeli korzenie są zdrowe mają kolor biały lub brunatny; chore korzenie ostróżnie oddalić trzeba, ziemię z pomiędzy korzeni drewienkiem kończastym wydobyć; jeżeli korzenie za gęste miejscami wykrajać przy pniu i tak aby korzeni pozostałych nie uszkodzić. Młode korzenie znów urosną niedługo, lecz stare zdrewniałe ochraniać trzeba. Korzeni grubych soczystych u roślin pnących się nie trzeba wiele obcinać, bo łatwo gniją.

Przy wsadzaniu do nowej doniczki zważać trzeba, aby korzenie nie dostały się głębiej do ziemi jak wprzód były. Na mały otwór w doniczce kładzie się skorupka a na nią wsypuje cokolwiek piasku grubego na 2 do 3 centimetrów. Potem trzyma się kwiat w ręku i powoli korzenie ziemią przysypuje, potrząsając doniczką aby ziemia pomiędzy korzenie się dostała, i gdy się napełni palcami wtoczyć ją jeszcze trzeba; dwa centymetry miejsca trzeba do podlewania wody pozostawić. Po ukończeniu tej pracy podlewa się kwat ostróżnie nie za wiele, postawia na miejsce cieniste, gdzie nie ma przewiewu dopóki świeże odnogi się nie ukażą, potem można go znów na dawne miejsce w słońcu postawić.

— **Nasienie marchwi** porzucone w połowie Grudnia na zagon przykryty śniegiem zejdzie rychło i dobry wyda rezultat.

— **Pleśń** ze skóry wywabia się drzewnym octem.

Rozmaitości.

* **Koleje** na całej ziemi miały przy rozpoczęciu roku 1892, w całości 617,285 kilometrów długości. Z tych przypada na Amerykę 331,417 kilometrów, albo 54 procent, na Europę 223,869 kilometrów, na Azyą 33,724 kilometrów, na Australią 18,889 kilometrów, na Afrykę 9,386 kilometrów. Z państw europejskich posiada państwo niemieckie z 52, 869 kilometrami największą długość kolejową.

* **Fabrykacya zapałek w Szwecyi.** W Szwecyi wyrób zapałek przynosi państwu i fabrykantom niezmierne dochody. Największa a także najstarsza fabryka nie tylko w kraju tym, ale i na całym świecie, znajduje się w Jonkoping. Ostatnia dywidenda wypłacona akcyonaryuszom wynosiła 50%, a dzięki klienteli Stanów Zjednoczonych mają nadzieję, że wzrośnie do 75%. Fabryka ta założoną została przed 100 laty. Pokazują w niej próbki zapałek używanych na początku tego wieku. Są to wielkie kawałki drzewa, opatrzone trzonkiem i małym końcem zmoczonym w cebrzyku siarki. Oto protoplasty małych zapałek dzisiaj rozpowszechnionych. Miliony tych ostatnich wyrabiają się teraz codziennie, a był czas w którym przez cały rok nie wyrabiano jednego miliona owych wielkich zapałek. Drzewo pochodzi z lasów okolicznych. Każdy las podzielony jest na 50 wyrębów, z których co rok jeden wycinają i sadzą zaraz młode drzewka. Ścięte pnie zaraz na miejscu piłują na deski, które w fabryce przecinają na małe kawałki. Części zewnętrzne drzewa obracane są na pudełka.

* **Szwajcarya posiada** 600 tys. krów i 280 tys. kóz, które dostarczają rocznie 17 milionów, hektolitrów mleka; z tego 18% odchodzi na wykarmienie cieląt, 39% przerabia się na sery i mleko skoncentrowane, reszta t. j. 43% zużywa się na miejscu. Pod

względem produkcyi mleka Bern stoi najwyżej.

* **Jakie zajęcia są szkodliwe dla zdrowia?** Kupując przedmioty codziennego użytku, nie zdajemy sobie sprawy, że wyrób ich ludzie przypłacają zdrowiem, niekiedy i życiem. Naprzykład zapałki, w których skład wchodzi fosfor; robotnicy przy nich pracujący cierpią na chorobę szczęk; zęby im wypadają, kości próchnieją a w następstwie przychodzi śmierć lub kalectwo. Równie niebezpiecznym jest wyrób trujących pigułek na szczury, składających się z fosforu. Robotnicy zajęci przy odlewaniu zwierciadeł powolnie zatruwają się rtęcią, cierpią na ból głowy i drętwienie członków. Szczególnie szkodliwemi dla zdrowia są rzemiosła przy których robotnicy muszą wdychać pył w siebie: im twardsze są cząsteczki pyłu, tem są niebezpieczniejsze. Zdawałoby się, że górnicy pracujący w kopalniach węgla, wśród pyłu i w dusznej atmosferze, powinni chorować na płuca, tymczasem skutkiem nadzwyczajnej miękkości i drobnych cząsteczek miału węglowego, suchoty u węglarzy są rzadkością. Zato między górnikami w kopalniach cyny panuje wielka śmiertelność: dwie trzecie ich umiera na choroby płucne. Szlifierze oraz robotnicy zajęci wyrobem igieł i szpilek bardzo krótko żyją, gdyż ostry pył stali, dostając się do płuc, drażni je i wywołuje różne cierpienia. Garncarze i fabrykanci porcelany tracą zdrowie bardzo prędko wskutek pyłu, jakim oddychają, oraz gwałtownych zmian temperatury. Mniejsze niebezpieczeństwo grozi mularzom i ceglarzom, którzy pracują na świeżem powietrzu. Robotnicy w przędzalniach bawełny muszą wciąż wciągać w siebie drobne jej cząsteczki, które drażnią płuca i wywołują w nich chorobliwe zmiany. Takież niebezpieczeństwo grozi ludziom, ktorzy sortują, czeszą i przędą wełnę; cierpią oni na ból głowy i trudności w oddychaniu. Fabrykanci przedmiotów ołowianych, malarze i blacharze, ulegają powolnemu zatruciu i najczęściej kończą na pomięszanie zmysłów. Kto ma do czynienia z miedzią i mosiądzem dostaje choroby nerwowej i zielonych obwódek na dziąsłach. Kwiaciarki, pracownicy w fabrykach obić, zajęci wypychaniem zwierząt i ptaków, łatwo zatruwają się arszenikiem, wskutek czego grozi im paraliż. Wielu studniarzy ginie uduszonych zabójczemi wyziewami lub przysypanych ziemią; studniarstwo zalicza się do nader niebezpiecznych rzemiosł. Ciężkie jest życie palaczy i maszynistów na okrętach, jak również robotników w hutach szklanych; najsilniejszy organizm nie może długo się opierać zgubnemu działaniu gorąca i gwałtownych zmian temperatury.

* **Najpospolitszym kolorem** między kwiatami jest biały, dalej idzie barwa czerwona i żółta, następnie błękitna i fijołkowa, rzadsza jest zielona, najmniej zaś jest kwiatów pomarańczowych i brunatnych. Badania 4,200 gatunków kwiatów wykazało, że w tej liczbie było 1,194 białych, 933 czerwonych, 950 żółtych, 594 niebieskich, 308 fijołkowych, 153 zielonych, 50 pomarańczowych i 18 brunatnych. Na 4,200 gatunków kwiatów zaledwie dziesiąta cześć jest pachnących. Ta statystyka wyda nam sią dziwną, znamy bowiem kwiaty w klombach i ogrodach hodowane dla pięknego ubarwnienia a więcej jeszcze dla zapachu, lecz jakaż to jest ilość ogromna kwiatów polnych i łąkowych, po większej części bezwonnych. Między kwiatami białemi najznaczniejszy procent jest pachnących 84; żółtych jest 77, niebieskich 31, zielonych 24, pomarańczowych 3, a w brunatnych tylko jeden jest wonny. Światło i ciepło bardzo się przyczyniają do wytworzenia zapachu; nawet rośliny, które w nocy tylko otwierają swoje kielichy i roznoszą woń, przestaną pachnąć, jeżeli je będziemy zawsze trzymali w ciemności.

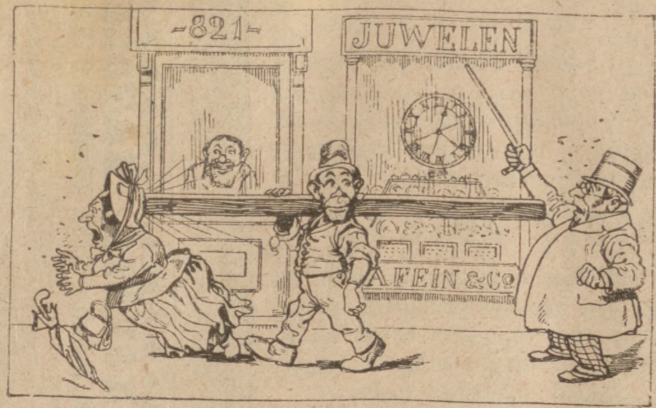
* **Dawniejsze kary dla pijaków.** Stare prawo pokutne przepisywało, że człowiek, który za wiele pożywa, powinien cały dzień pościć o chlebie i wodzie. Kto się tak upije, że mieć będzie wymioty, ma przez 15 dni pokutować, a kto go przyprowadził do tego, przez 7 dni; ktoby zaś to uczynił przez psotę, ma pokutować przez 30 dni. — Oprócz kar kościelnych trafiały pijaków zwyczajnie także kary zwierzchności świeckiej. Brzetysław, książę czeski, wydał w roku 1039 następujące ostre rozporządzenie: »Kto utrzymuje gospodę, ktora jest przyczyną do kradzieży, zabójstwa, cudzołóstwa i innych, grzechów, ma na rynku do słupa być przywiązany i przez katów biczowany; jego napoje zostaną wypuszczone i zniweczone. Kto się upije, dostanie się do więzienia i powinien zapłacić 30 groszy do kasy książęcej. *J. P.*

* **Gazeta „Times“.** Angielski »Times« należy do największych pism codziennech europejskich. Podług ciekawego obliczenia, dokonanego przez jednę z gazet francuzkich, »Times« zawiera w zwykłem wydaniu dziewięćdziesiąt szpalt i n f o l i o. Ponieważ zaś w każdej szpalcie mieści się od dwustu do dwustu-sześćdziesięciuwierszy, a w każdym wierszu od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu liter, przeto w rezultacie okaże się ogółem w jednym numerze do półtora miliona liter na dzień. Tym sposobem każdy numer »Timesa« jest prawie trzy razy większy od niejednego trzytomowego romansu niemieckiego, w którym nie więcej się mieści nad sześćkroć stotysięcy liter nie bacząc na liczne puste miejsca i częste ustępy.

Sztab drukarni składa się z przeszło tysiąca osób. W administracyi gazety pracuje studwudziestu urzędników. Dwieście dwadzieścia osób ze składu redakcyjnego pobiera pensye nie niższe od 2000 mrk. na miesiąc. Inni współpracownicy płatni są od wiersza. Wielu z nich zarabia po siedm set rubli na miesiąc. Najkosztowniejszym działem »Timesa« są korespondencye zagraniczne, opłacane w istocie po królewsku. W każdej stolicy wszystkich państw »Times« ma swoich korespondentów. Zajmują oni nieraz nawet wysokie stanowiska. Wiadomości pilne przesyłają telegrafem i za punkt ho-

Fatalna deska.

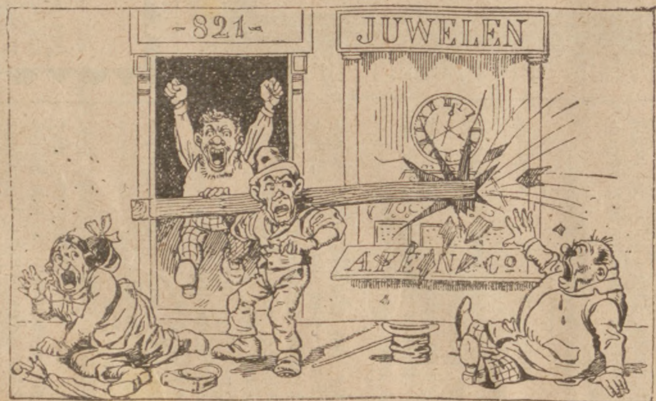
1.



2.



3.



4.



. sobie uważają, aby ich in-
:acye były zawsze prawdziwe
dłowe. Rzadko więc stosun-
w »Timesie« można się
ać z rodzajem »kaczek
ennikarskich«, stworzeń bardzo
olitych w innych wielkich
nikach zagranicznych.

Przesąd chiński. Nikt z
ńczyków z wyjątkiem może
ojców morskich, nie ratuje to-
cego. W państwie chińskiem
ieje bowiem mniemanie, że
duch człowieka tonącego błąka
na powierzchni wody, czekając
ry nowej, że jest to jedyna
, kiedy zły duch nie ma
służby. Dla tego też nikt
e ratować bliźniego z oba-
zły duch będzie się mścił
arcie mu pewnej gratki.

ŻARTY.

— Wie pani — mówiła jedna imość
drugiej — mój mąż jest tak su-
y, że gdy mu się śni, iż coś
. natychmiast sam się oskarża.
— Tak samo jak mój — odpo-
druga — tylko, że mojemu, gdy
radnie, zawsze się zdaje, że mu
tylko śniło.

Pewien profesor medycyny pyta się
go studenta, które zęby człowiek
niej dostaje, student bez namy-
owiada:
zne, panie profesorze.

będąc w celi u więźnia,
go:
Ale człowiecze powiedz mi, ja-
masz sumienie?
Dziękuję panu — odpowiada
— jeszcze zupełnie dobre, bo
zas mało go używałem.

tor (na choroby ócz do pa-
Teraz jest pan od tablicy
kroków oddalony; czy pan
rzeczytać, co na niej stoi?
yent: Nie.
ktor: Przybliż się pan o dwa
czy może Pan teraz czytać?
cyent: Nie.
oktor: To stań Pan zupełnie
blicy; a teraz?
acyent: Nie.
októr: To jest wypadek, któ-
jeszcze nie doświadczyłem, aby
upełnie niewidomy z tak bliska
mógł liter przeczytać. Opowiedz
n, jak się to stało, co to mógł
powód?
ent: Proszę pana doktora,
iej ta przyczyna będzie, że
y czytać nie uczono.

Dzieje Polski
OD POCZĄTKU DO NAJNOWSZYCH CZASÓW.

Według najlepszych źródeł opracował **Maryan z nad Dniepru.**

Całość obejmuje mniej więcej 300 stronnic druku w 8-ce z 80-ciu pięknemi obrazkami ważniejszych wypadków dziejowych, wizerunkami królów i sławnych mężów polskich.

Cenę pomimo starannego wydania, aby nabycie dziełka w trudnych dziś stósunkach, każdemu umożliwić, ustanowiono na

1 markę 60 fenygów.

Upraszamy o łaskawe zamówienia i jesteśmy przekonani, że wydatku tego nikt nie pożałuje. Zamówienia prosimy nadsyłać pod adresem:

WYDAWNICTWO „KATOLIKA“,
Bytom, ulica Piekarska nr. 15.

Baczność!

Często piszą się polskie listy na papierze, na którym jest nagłówek z **niemieckim obrazkiem lub napisem.** A gdy się komu na to uwagę zwróciło, tedy odpowiadał, że papieru listowego **z polskimi napisami dostać nie mógł.** Aby temu zapobiedz, postarała się nasza drukarnia o stósowne nagłówki i napisy i poleca

Papier listowy i koperty

po takich samych cenach, jakie w składach za niemieckie płacić trzeba, z ładnymi nagłówkami i **polskimi napisami** (jak: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Szczęść Boże, Bóg z Tobą, Serdeczne pozdrowienie, Witam Was*) po następujących cenach:

5 arkuszy listowego papieru i 5 kopert w tece za 10 fen. z przes. 15 fen.
10 „ „ „ 10 „ „ „ „ 20 „ „ „ 30 „
25 „ „ „ 25 „ „ „ „ 40 „ „ „ 50 „

Zamawiać można pod adresem:

WYDAWNICTWO „KATOLIKA“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

DRUKARNIA „KATOLIKA“
w Bytomiu G.-Sz. (Beuthen O.-S.)

jest nowo zaopatrzona w najgustowniejsze czcionki i pospieszne maszyny poleca się do wykonywania **wszelkich robót drukarskich** w polskim i niemieckim języku po najtańszych cenach; a mianowicie: Dzieła, książki modlitewne i powieściowe, broszurki, statuta dla wszelkich stowarzyszeń i bractw, tabele, afisze dla przedstawień teatralnych i koncertów, programy, bilety, karty wizytowe, cenniki, rachunki, powinszowania i t. d.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.